

Ofiary własnej gry

Sztuka Per Olova Enquista „Z życia dziedzic” (w innym tłumaczeniu, z którego korzystają nasze teatry — „Z życia glist”), opublikowana w Szwecji w 1982 roku, u nas ukazała się w „Dialogu” w lutym ubiegłego roku. A już w lipcu odbyła się jej polska prapremiera w krakowskim „Teatrze Starym”. Zielonogórskie przedstawienie jest bodaj trzecią z kolei realizacją (zapowiadane są dalsze).

Zanosi się na to, że najnowsze dzieło Enquista cieszyć się będzie nie mniejszym powodzeniem, niż lat temu kilka tego samego autora „Noc trybad” o Strindbergu.

Cóż tak fascynuje teatry w tym „obrazie rodziny z roku 1856”, jak określił Enquist w podtytułe swój dramat.

Bohaterami sztuki są znane postacie dzieł niemieckojęzycznej Danii — Johanne Luise i Johan Ludvig Heibergowie; ona — uwiela biała aktorka, już za życia otoczona legendą „muza stulecia”, on — sławny literat i krytyk oraz Hans Christian Andersen, postać z tej trójki najbliższa polskiemu czytelnikowi.

Sztuka jest nasycona wieloma autentycznymi faktami historyczno-biograficznymi. Trudno byłoby ją jednak określić jako próbę ożywienia na scenie jednego z najznakomitszych salonów ubiegłowiecznej Kopenhagi.

Pod historyczno-biograficznym kostiumem kryje się dramat o uniwersalnych wymiarach.

Ponad dwadzieścia lat temu Enquist napisał powieść „Szlak podróży”, w której mówił o potrzebie szczerości w ludzkim życiu.

„Z życia glist” pozostaje w tym nurcie autorskich zainteresowań. Jest formą wiwi sekcji wypaczonych kontaktów między ludźmi

Johanne Luise Heiberg znajduje się u szczytu sławy, osiągnęła wszystko, co mogła osiągnąć. Dlaczego więc jest nieszczęśliwa? Skąd poczucie, że przegrała to, co w życiu najważniejsze?

Życia nie można powtórzyć, ale można (i trzeba) dociekać, dlaczego się je przegrało. Johanne próbuje to robić.

Sztuka Enquista mówi o ludziach zamkniętych w kawałki lodu, oddzielonych od siebie szklanymi kłozami, zamkniętych w swoich kokonach. O ludziach wprawionych w różnych regułach gry i w przybieraniu masek, które — bywa — przyrastają do twarzy.

Dramat Johanne Heiberg polega na tym, że świadoma uwierającej maski nie może i nie umie się jej pozbyć.

Tyle o sztuce Enquista. Teraz o tym, co zobaczyliśmy na zielonogórskiej scenie.

Nawet niezbyt wrażliwy na plastyczną oprawę spektaklu widz musiał zapamiętać piękną scenografię Marka Tomasika.

W saloniku wytłumionym pluszowym brązem — trójka ludzi skupionych pod lampą przy okrągłym stole, z boku — postać zatopiona w miękkim fotelu. Scena tożna spokojem, poczuciem bezpieczeństwa, ciepłem domu odizolowanego od zgiełku świata.

Obraz rodziny ukształtowany w takiej formie plastycznej, jest ciagle obecnym kontrapunktem dla obrazu, który powoli odsłaniać się będzie przed widzami.

Cały spektakl został zrealizowany z ogromną pieczołowitością, czuć w nim wielogodzinną rzetelną pracę i staranie całego zespołu. Ba! Nawet widza, który uprzedzony dobrymi recenzjami z poprzednich premier nie odbierał w oczekiwaniu wydarzenia.

Które jednak nie nastąpiło.

Dlaczego?

Pierwsze skrzypce w sztuce Enquista należą do pani Heiberg (należą do tego stopnia, że można przy odrobinie wyobraźni zobaczyć „Z życia glist” w postaci monodramu). Mam wrażenie, że Henryka Bielawska nie w pełni poradziła sobie z rolą. Kreowana przez nią „muza stulecia” jawi się jako zgorzkniała i dość jedzowata istota.

W sztuce Enquista (którą radzę przeczytać, bo warto) jest to postać wielowymiarowa, o bogatym wnętrzu, skrywanym pod nie jedną, lecz wieloma maskami. Ta postać mieni się różnymi barwami uczuciowymi, wśród których między ozernią a bielą jest cała paleta różnych odcieni szarości.

W zielonogórskim spektaklu Hanne jest postacią jednowymiarową — cyniczną, odpychającą, pełną pogardy dla ludzi. Aż trudno pojąć co w tej zimnej kobiecie ująć mogło dwóch nieprzeciętnych przeciwników męża.

Jedną z wielu masek zbyt mocno przyrosła do twarzy zielonogórskiej pani Heiberg, aby mogła ona pokazać inne swoje oblicze. Efekt jest taki, że np. scena szczerzej, braterskiej, rozmowy z Andersenem sprawia wrażenie sztucznej przyklejonej. Pozbawiono ją bowiem oparcia w poprzednich. Widz skłonny jest podejrzewać boha terkę raczej o jeszcze jedną cyniczną grę, niż o szczerłość.

Plakatowe zarysowanie głównej bohaterki odbiło się na kształcie całego spektaklu. Układ sił między partnerami stał się bowiem statyczny. Dominuje przez cały czas pani Heiberg. Andersenowi (Hilary Kurpanik) pozostała rola miękkiego pantoflarza (chyba jednak nie z tej sztuki). Myślę, że wobec innej pani Heiberg adekwatna byłaby kreacja Zdzisława Grudnia, który grał Ludwiga Heiberga. Tu jednak i on ani przez moment nie panuje nad agresywną partnerką (choć przecież to mistrz Hanne, który ją ukształtował i któregoo ona się boli).

Jest w tym spektaklu jedna wspaniale wypełniona rola — Łysej w wykonaniu Danuty Ambroż. Łysa, która nie wydaje z siebie słowa (jeśli nie liczyć nie artykulowanych dźwięków), która na moment nie wstaje z fotela, przez cały czas jest na scenie. Nie tylko fizycznie. Jej obecność dopełnia ów dramat w jakiś szczególny sposób.

Dla sztuki Enquista i dla pani Ambroż przede wszystkim warto zobaczyć zielonogórski spektakl. Gdybyż się jeszcze okazało, że taka a nie inna pani Heiberg objawiła się nam tylko z powodu premierowej tremy... Spektakl nie schodzi z afisza. Być może więc zobaczymy jeszcze na scenie prawdziwą Johanne.

DANUTA PIEKARSKA

„Z życia glist” Per Olova Enquista, przełożył Andrzej Krajewski-Bola, reż. — Wanda Laskowska, scenogr. — Marek Tomasik, oprac. muzyczne (bardzo dobre) — Andrzej Tuchowski, oprac. choreogr. — Henryk Konwiński, premiera — 12 maja 1984 roku na Scenie Kameralnej.

P.S.: Widzowie, którzy nigdy nie zetknęli się z zjawiskiem klaki, mieli okazję zobaczyć co to takiego podczas tej właśnie premiery. Wprawdzie klaka jest zjawiskiem teatralnym, ale z zasięganymi głosów nie wynika, aby wzbudziło ono zachwyt widzów.

Głośne demonstracyjne oznaki aplauzu dla jednego tylko zresztą wykonawcy (przypadkiem był to dyrektor Kurpanik) nie pomogły grającym na scenie aktorom. Miejmy nadzieję, że przynajmniej pomogą tym, którzy klakę zrobili...